

# Misionarz w Wenchow

温州傳教的神父



Wen chow, P. Alexio, Ksiazka Misionarzy w Chinach.  
Wen chow, P. Alexio, Ksiazka Misionarzy w Chinach.

M I S J O N A R Z  
W  
W E N C H O W  
( Wychodzić będzie, o ile możliwe, co miesiąc. )

Rok II

Wrzesień, 1939

Nr. 9

Przebaczam mu dla miłości Jezusa.

Ks. Fr. Bąba, Misjonarz.

Był piękny, słoneczny dzień wiosenny. Ks. Proboszcz Grabla zaraz od rana zabrał się w swej pracowni do ksiąg parafialnych. Katechisci z trzydziestu łupic przynieśli mu swe księgi chrztów, małżeństw, zmarłych, by je przepisać do ksiąg parafialnych w Funclin. Prowadzenie ksiąg jest pracą żmudną i uciążliwą, szczególnie w namijsjach. Wymaga napięcia uwagi i wielkiej dokładności. Bez znajomości pisma chińskiego nie podobna byłoby zabrać się do niej. Każdy bowiem katechista prowadzi swe księgi po chińsku. To rzecz zrozumiała. Toteż misjonarz koniecznie musi poznać pismo chińskie, by być zdolny do pracy samodzielnej na terenie misyjnym. Tymczasem pismo to jest przysłowiowe na całym świecie, jako coś strasznie trudnego. "To takie trudne, jak chińskie", skryzy się czasem. I rzeczywiście, pismo to wymaga wielkiej i mozolnej pracy, pilności szczerzej i nieustannej, by jako tako opanować "tę niezliczoną ilość kresek i punkcików." Hieroglificzne znaki chińskie mają to do siebie, że nie chcą trzymać się ani wzroku, ani pamięci, ani wyobraźni, ani rozumu. Długoletnia praca wyźłabia w pamięci dopiero budowę poszczególnych znaków. Sądzikem, że to tylko dla Europejczyka chińskie pismo przedstawia się tak nieuchwytnie. Tymczasem po wielu rozmowach na ten temat z chińskimi nauczycielami, czy księżmi tubylczymi, doszedłem do przekonania, że oni również mozolnie "wkuwali" te znaki do swej pamięci. Jeden z księży miejscowych, zamieszany w literaturze chińskiej, opowiadał mi, że jako młody uczeń w żaden sposób nie mógł sobie zapamiętać hieroglifów. Toteż chiński nauczyciel nie wrożył mu znakomitej przyszłości. Opatrzność Boża inaczej pokierowała. Ten uczeń słaby w młodości, dziś jest wzorowym i uczonym kapłanem tubylczym, doskonale obznajnym w piśmiennictwie chińskim. Czas jedynie i praca na upartej dokonuje swego dzieła. Chińczyk od młodości pamięć swą wzbogaca nowymi znakami. Z chlubą i radością wielką przedstawiają misjonarzowi swe działki ojcowie rodzin, by przysłuchał się, jak czytają. Spotykałem ośmioletnie dzieci, które na pamięć recytowały całe ustępy z książek szkolnych lub bez przestanku odczytywały przestudiowane kawałki. Nie inaczej przedstawia się sprawa z katechizmem. Dziecko potrafi na pamięć wyuczyć się całego katechizmu. Recytuje to dobrze, że radość bierze. Oby tylko rozumiało, co mówi! Misjonarz

Europejski nie może zostać obojętny wobec tej sprawy. Inaczej będzie gwałby na siebie śmiech i pogardę drugich, jako analfabeta. Dlatego mimo męczeńskiego trudu, musi jednak poddać się wymogom swego powołania i opanować natyle pismo, by w życiu codziennym dał sobie rady. Znajomość pisma chińskiego i najkonieczniejsze wykształcenie literackie w tej dziedzinie jest jednym z środków ewangelizacji i postępu Kościoła w Chinach. Wiedza ta u kapłana europejskiego budzi cześć wśród warstw chińskich i elity uczonych. A tak przyczynia się do pogębenia i zainteresowania nauką katolicką gózu.

Wpadłem tego poranku do pracowni ks. Grabki. Pragnąłem zobaczyć jego pracę. Na stole rozłożone stopy zeszytów i ksiąg, zapisanych po chińsku. Ks. proboszcz bierze każdy, przegląda, wodząc palcami po hieroglifach chińskich, jak artysta po klawiaturze. Wystarczy mu rzucić wzrokiem na te grymozy, by od razu zorientować się o co chodzi. Uczucie podziwu budzić się musi u każdego, kto go zobaczy przy takiej pracy. Misjonarz europejski, duszą i sercem oddany dla spraw Kościoła w Chinach, dochodzi w ciągu dwu czy trzech lat do wyników takich, jak jego bracia tubylczy po wielu studiach. Toteż nasi Chińczycy nie mają dość szów podziwu, gdy widzą misjonarza europejskiego przy takiej pracy, która z swej natury wymagałaby siły tubylczej. Przy takiej znajomości praca szła szybko. Widocznie ks. Grabka chciał ten dzień poświęcić na zakątnienie ksiąg parafialnych, by potem móc z większą swobodą wziąć się do innych czynności i obowiązków. Tymczasem nieprzewidziane spadł gość jakby z nieba.

Drugó stukał po drewnianych schodach, zanim wy dostał się na piętro. Kręcąca broda wskazywała, że to nie młodzik. W ręce miał fajkę, wielkości tyczki gimnastycznej. W drodze służył mu do podpierania steranego ciała, a w domu do puszczania kłębow dymu. Chińczyk jest ekonomiczny. Po co nosić fajkę pod pachą lub w kieszeni, a laszkę w ręce? Czyż druga fajka nie może z łatwością zastąpić jednego i drugiego? Podpierając się i stukając lagą tą w podłogę, podchodzi do ks. proboszcza i skłania tułów do pokowy. Jest to wyraz powitania i oddania czci wobec przełożonych. Przedstawia się jako chrześcijanin z parafii Funclin. Ks. Grabka, czystym akcentem chińskim, modulując głos prawidłami wysokości tonów, prosi, by spoczął. Gość nasz usiadł na krześle, kładąc fajkę między kolana. Swą wysokością wystawała mu ponad głowę, jak maszt na okręcie. Według zwyczajów chińskich, gość zaczyna od błahych rzeczy. Po długim nie zmiernie nudnym wstępie dochodzi do wątku sprawy. Chrześcijanin nasz opowiadał szeroko o swym nawróceniu i wyczynach pobożności. Podkreślał swą gorliwość, jak każdy Chińczyk. Wymienił wielu księży chińskich i europejskich. Znał i Siostry Miłosierdzia w naszym szpitalu misyjnym w Wenchow. Wiedział, jak się która nazywała i ile lat pracowała. Jednym słowem był obity w sprawach misyjnych i dziejach ewangelizacji na dystrykcie Wenchow i parafii Funclin. Wszystko nie było jednak powiązane datami, bo do tych Chińczycy nie mają zamykowania. A może daty historyczne nie lubią Chińczyków? Dość, że opowiadał wiele. Wyglądało to tak, że chce podyktować dzieje Kościoła na swym odcinku rodzinnym.

Ks. Grabka musiał słuchać go z zainteresowaniem, jakby to były ważne i życiowo sprawy. Misjonarz mimo nudnych nieraz Chińczykówmał się okazać miłym i życzliwym.

Wreszcie doszedł do sedna rzeczy. Otóż sprawa małżeńska. Córkę swą zaręczył chrześcijaninowi. Według zwyczaju miejscowego miał za nią dostać 80 dol. meks. Tańta strona biedna. Jak na razie, nie może dać więcej, jak 4. Przynależ więc 4 dolary i na dodatek różne przysmaki chińskie. Było więc i wino, było mięsido, byk i ryż. Miał sobie pojeść i córkę odesłać mu jako przyszłą żonę. Co do pieniędzy, to zaraz wyrówna po ślubie. Nasz chrześcijanin wiktuaży spożył, pieniądze schował, a córkę ani myśli oddać. Mimo próśb i nalegań nie chciał odesłać, dopóki nie dostanie wszystkich pieniędzy. Struna cierpliwości zerwała się. Tamten nocą na czelu gromady ludzi otoczył dom jego i córkę wykradł. Ugodzony do żywego w uczucia wstydu i pychy, nasz gość postanawia zemścić się śmiertelnie. Przedtem przyszedł jednak naradzić się z ojcem misjonarzem. W unię eniu przedstawia swój plan. "Ojciec misjonarzu, ja go muszę zgładzić!" Ks. proboszcz zupełnie spokojnie przekonywuje, tłumaczy i namawia. Nasi jednak górale to ognisty naród. Upór bez namysłu, pięść przed rozumem, bitka przed rozważą! Jak tu mówić z takimi? Na szczęście dzwonili na obiad. Proboszcz kazał mu zejść i posilić się. Widać było, że gest ten misjonarza wzruszył naszego gościa. Był ujęty jego dobrocią. Po obiedzie zaraz przychodzi do góry. - Czyś już jadł ryż /ni wa c'i-ba-mi?/, zapytuje go misjonarz według zwyczaju chińskiego. - Tak, jadłem /c'i-ba/. Po wymianie form grzeczności poobiedniej nasz gość zabiera głos. "Ojciec misjonarzu, ja go nie chcę zgładzić." "Ojciec misjonarzu byk tak dobry dla mnie i ja chcę być dobry dla ojca misjonarza." A potem wyzusza nowy plan. On mnie obraził. Utracony honor musi mi przywrócić. Niech ojciec misjonarz każe mu odbyć pokutę publiczną według mojego zdania. Na siebie ma nawdziać czerwony kaftan, na plecach napisać "uwodziciel", i tak chodząc od kaplicy do kaplicy, opowiadać drugim przyczynę pokuty i wracać mi "utrata twarzy" /wyrządzone zniewaga/. Ks. Grabka widzi, że trwa przy swoim. Nakaz i ostre potraktowanie ze strony misjonarza mogłoby pociągnąć fatalne skutki. Uczucie bowiem zemsty i krwi głęboko korzeniami sięga duszy Chińczyka. Łaska Boża i praca osobista dokonują powoli odmiany góbin duszy niegdyś spoganiałej. Toteż misjonarz musi okazać wiele wyrozumienia dla tych biednych ułomności natury ludzkiej. Miłość i delikatność odnosa zwycięstwo. - Kościół katolicki nie zna takich pokut, jakie tu podajeś, tłumaczy mu ks. proboszcz. Dla miłości Jezusa, który i tobie nieraz przebaczył, musisz mu więc darować. - Ojciec, wiem, że powinienem przebaczyć. Ale to tak trudno, tak niegodne z naszymi tradycjami narodowymi! Jestem jednak chrześcijaninem i rozumiem wielkość przyjętych obowiązków. Z drugiej strony nie mogę ustąpić, by tamten triumfował i ze mnie się śmiał. Dlatego dla miłości Jezusa zrobię ostatnie ustępstwo. Z nakazu ojca misjonarza ma w czerwonej czapce, jako symbol pokuty, obchodzić kaplice w pokutnej pielgrzymce. Musi mi wrócić "utrata twarzy." Od tego nie ustąpię. I wyszedł.

Był wieczór. Ks. Grabka zna Chińczyków i wie jak się dobrać do ich serca tradycjami wiekowymi nadgrzewanego. Zaprosił go na kolację i kazał mu dać nocleg. Po śniadaniu gość przychodzi. Musiał wiele rozmyślać nad słowami i czynami misjonarza. Już w progu zawołał: Ojciec misjonarzu, przebaczam mu dla miłości Jezusa! Ojciec misjonarz tak pięknie mi mówił o Jezusie, który przebacza nieprzyjaciółom i to poruszyło moje serce. Pożegnał serdecznie ks. proboszcza, kłaniając się jeszcze niżej, jak przy przywitaniu. Zabrał swoją fajkę, nieodstępną towarzyszkę doli Chińczyka i podpie-  
rając się nią, wrócił do domu. W sercu uniósł nowe plany przebaczenia ewangelicznego i miłości nieprzyjaciół.

-----

Wenchow w lecie 1939.

Ks. I. Wieczorek.

Zamarłym jest miastem ale tylko w ciągu dnia, od wschodu do zachodu słońca. Próżnobyś się trudził czytelniku, by coś o tej porze kupić. Jak ulice długie, tak wszystkie sklepy zamknięte i zabarykadowane. Napróżnobyś nakładał i ze dwie pary okularów, by dopatrzeć się tego tkumu, jakim zwykle żyją ulice chińskiego portowego miasta. Co najwyżej, od czasu do czasu dojrzałbyś pojedyncze sylwetki przesuwające się szybko i jakoś trwożliwie przed twymi oczyma. Od czasu do czasu natkniesz się też na jakąś biedotę, wyciągającą rękę ku Tobie i skłoniwie proszącą o jałmużnę. - Naprawdę całość sprawia niesamowity widok. Nieraz mam wrażenie, jakby tędy przeszła jakaś morowa zaraza lub inny kataklizm, który zrujnował życie trzystu tysiącom ludzi, których trupy leżą poza tymi pozamykanymi drzwiami. A nad tym "amentaryszkiem", by dopełnić obrazu grozy, odzywa się od czasu do czasu przeraźliwie płacząca syrena by tym, którzy jeszcze "pozostali przy życiu" i nie wynieśli się gdzieś daleko, dać znać by się mieli na baczności. Nie długo potem japońskie samoloty krążą nad miastem, niby te orki, których padlina przyciąga. Ale i one znikają, a nad miastem znowu rozprzestrzenia się cisza..... śmiertelna cisza.

Ale wieczorem miasto...odżywa. Jakżeż inny przedstawia widok. Choć nie tak jak za dni spokojnych, ale czuć w nim życie, widać ruch. W niektórych większych składach, nowoczesne neonowe reklamy zapraszają Cię na chwilkę, rykciarze narzucają się z usługami, a zapach ulicznych restauracji podnieca węch, smak i apetyt. Procesje ludzi businessu, kulisów uginających się pod pakami z towarem zapełniają ulice. W sklepach tłumy kupujących. I tak do świtu. A potem znowu procesje za miasto do pobliskich wiosek. I znowu cisza i znowu ruch i cisza napowrót. Już blisko trzy miesiące tak "w koło Macieju."

Piorunująca wieść!

"Misjonarz" był już prawie na wydaniu, gdy wcześniej niż zwykle wenczowscy gazeciarze latali po ulicach, krzycząc przeraźliwiej, niż zazwyczaj: "kha-pe, kha-pe", kurie...e...r, kurie...e...r! Byłem wtedy na śniadaniu. Coś mnie złowrogo tknęło, więc wybiegłem, by zobaczyć, co za wieści. A tu wielkie znaki chińskie obwieszczały: Wojska niemieckie rozpocząły ofensywę... Serce mi się ścisnęło.... Już nie kończyłem śniadania, ale poszedłem do kaplicy... Boże, błogosław Polsce...

" Z P. Jezusem chętnie pojedę,  
bo w trójkę nic się nam złego stać nie może."  
Ks. W. Ciemała, O. M.

Est szósta godzina wieczorem. Przychodzi do mnie posła-  
niec chrześcijański ze Sa-ka z prośbą, bym pojechał za-  
opatrzyć ciężko chorego.

- Czy masz list od katechisty?
- Nie mam listu.
- A czy chory może przyjąć Wiatyki?
- Wiatyki? - proszę ojca duchownego, co to takiego? Nie rozumiem.
- No! widzisz - pytam, czy chory może przyjąć Komunię św.
- Katechista nic mi nie mówił, aby ojciec duchowny tam coś zanosił.
- Ale nie chodzi o coś, bo trzeba dużo rzeczy zabrać ze sobą, lecz  
pytam o Komunię św.

- Wiesz, ojciec duchowny, ja się na tych świętych rzeczach jeszcze  
nie znam, bo ja niedawno zacząłem czytać "Pana Nieba".

- A to gadajże tak odrazu! Zaczynam więc mówić przystępnie, niby  
że rozmawiam z katechumenem.

- A ten chory - czy jest przytomny?

- Jest przytomny.

- A herbatę pije? Pije.

- A czy nie wymiotuje? Nie wymiotuje.

- No widzisz, bracie, wreszcie dogadaliśmy się. Oczywiście trzeba  
mu zanieść Wiatyki czyli Komunię św. Idź i zamów Łódkę, ale konie-  
cznie trzeba dwu wioślarzy, rozumiesz? Rozumiem.

Jestem sam w rezydencji. Dwaj inni księża wyjechali, jeden  
do Wenchow, drugi na misje. Ze służby nie ma nikogo, poza kucha-  
rzem i starszkciem, który pilnuje bramy. Jest nauczyciel, ale te-  
go nie mogę zabrać ze sobą, bo w domu chłopców szkolnych dużo, mu-  
si ktoś pilnować. Idę do chłopców i pytam:

- Któryż to z was ze Sa-ka? Zgłasza się trzech.

Mówię największemu z nich: - Czy towarzyszylibyś ojcu duchownemu do  
chorego? Widzisz - już wieczór, nie wiem czy trafię.

- Proszę ojca duchownego, poszedłbym z ochotą, tylko że już wieczór  
więc się nieco boję. A czy ojciec duchowny pojedzie z P. Jezusem?

- Tak jest.

- To dobrze, z P. Jezusem chętnie pojedę, bo w trójkę nic się nam  
złego stać nie może.

Stróż bramy przychodzi z zawiadomieniem, że Łódkarze już cze-  
kają przed bramą. A ten niby katechumen więcej się do rezydencji  
nie pokazał. Idę do zakrytli, by przygotować walizkę z przybora-  
mi do chorego, zabieram Wiatyki i - w drogę. ( Tu w Chinach ksiądz  
wszystko zabiera ze sobą, jak: obrus, lichtarze ze świecami, krzyż  
itd.)

Po półgodzinnej jeździe Łódką zrobiła się ciemna noc. Ciężkie  
chmury wloką się z jednej połaci nieba na drugą i coś jakby na bu-  
rzę się zbierało. Nie było trzeba długo czekać. Pierwsze krople  
zwiastowały nadchodzącą burzę. Nagle otwarły się upusty niebies-  
kie - lazo jak z cebra z dobrą godzinę. Zbawiane chmury gniewem

nadęte i napelnione burzą, wlokły się ciężko i leniwie. Na dłużej się zanosiło.... Spokojne dotąd fale kanału zaczęły kipieć złością w pianach a wiatr, jakby kąśliwy pies, naszczekiwaniem do złości je jeszcze bardziej podjudzał i wiódł je do ataku na nasze żrebię wodne, z trudem cwałujące po grzbietach fal.

- Ojcie duchowny, odzyska się chłopiec, proszę usiąść tu na ławeczce, bo dużo wody... Odmawiałem różaniec i nie zauważyłem, że od dłuższego czasu leżę we wodzie, bez przesady, jak we wannie.

- Trudno, dwu nie może siedzieć na ławeczce, gdzie miejsce tylko na jednego. Podaj mi skrzyneczkę z przyborami do chorego!

Wkładam do skrzynki Wiatyk św., gdyż nie było suchej nitki na mnie. Na domiar złego, wichura zerwała nam z łódki daszek bambusowy, który nas nieochronił od ulewy.

Dotychczas jechaliśmy brzegiem... Zbliżamy się do mostu, zbudowanego na modłę chińska, trzy przedziały: środkowy najwyższy, dwa boczne lekko opadające. Nasi wioślarze z trudem kierują łódź na środek kanału, by przebrnąć tę nieszcześniejszą zaporę.

- Zapalcie latarnię - informuję wioślarzy - przecież nic nie widać, a można o ten most głowy porzbić.

- No tak, biały panie, ale całe nasze trudne położenie leży w tym, żeśmy nie byli przygotowani na burzę i latarni nie zabraliśmy. Proszę być spokojnym, damy radę i głowy uchronimy od rozbicia.

Jeden z nich wchodzi do wody, by tym łatwiej kierować łódką w czasie przejazdu naszego po krzywym mostem. Niestety, znowu niespodzianka. Pod mostem wichura porwała naszą spokojną łódź i pędziła ją prosto na bagnisty brzeg... Most nie puścił, ale nasi wioślarze puścili: jeden został pod mostem i tylko cudem dostał się na brzeg, drugi pędził razem z nami na złamanie karku na stały ład... Tak samo musiało być gdy ryba morska wyrzuciła Jonasza proroka na brzeg, z tą tylko różnicą, że Jonasz przebywał we wnętrznościach ryby przez całe trzy dni, a w jej wnętrznościach wody nie było. Wyrzuciła go chyba także na suchy brzeg. We wnętrznościach naszej ryby kanałowej wody było niemało a brzeg nie tylko wodnisty, ale po prostu błotnisty....

Wyszliśmy cało z naszej przygody burzliwej. Drugi raz narażać życie wcale nie miałem ochoty i dlatego postanowiłem przeczekać, aż się nieco uspokoi.

Po dobrym kwadransie - kanał wygładził swe fale, złość ich wykypiała w pianach. Czasem jeszcze któraś pluśnie i klaśnie cicho, ale już nie z gniewu, chyba z wesołej pustoty. Ruszyliśmy przeto dalej....

Po zaopatrzeniu chorego, natychmiast udaliśmy się w powrotną drogę. Już było dobrze po północy, gdy stanęliśmy przed rezydencją misyjną. Przypomniały mi się dopiero teraz słowa towarzyszącego mi chłopca: "Z P. Jezusem chętnie pojedę, bo w trójkę nic się nam złego stać nie może."

-----

W AMERYCE wszelkie ofiary dla nas prosimy adresować: Skarb Rodziny St. John Kanty Coll., Erie Pa. Prosimy zawsze zaznaczać: dla misji polskiej, Wanshow, Chiny

Radość wielka zapanowała wśród polskich misjonarzy w Wenchow. Dostaliśmy wiadomość urzędową, że nowy kapłan, niedawno wyświęcony, ks. Władysław Serzysko przyjeżdża do naszej grupy. Siły misyjne wzmacniają się o jeden nowy, żywy zapał i ofiarne serce. Dzięki jego działalności ewangelicznej Królestwo Chrystusowe posunie swe granice w głąb krainy pogańskiej. Władztwo ducha ciemności ścieśni swój zasięg. Niejedna dusza chińska, kapłańską ręką młodego misjonarza oczyszczona, wiecznością chwały i szczęścia błogosławić będzie jego poświęcenie. Toteż tylko radować się na tę wieść apostołską o nowej ofierze miłości Boga i bliźnich. Nadto prosić Boga, by rok rocznie przysyłał nam nowych pionierów ewangelicznych.

Telegraficzną drogą zawiadomił ks. Sup. Kurtykę młody misjonarz o przybyciu do Szanghaju 7 maja. Był to akuratnie okres najburzliwszy, jaki przeżywalismy w Wenchow. Samoloty japońskie ani na chwilę nie opuszczały nas. Codziennie składały wizyty i podarunki miastu i jego mieszkańcom. Dzięki Bogu, że tych podarunków nie przysłali do naszej rezydencji! Życie jednak misjonarzy wisiało na włosku. Ileż to domów i kościołów zburzono gdzieindziej w czasie bombardowania! Matka Najśw., pod opieką której pracują polscy misjonarze, pamiętała miłośnie o swych dzieciach! Dzięki Jej za to stokrotnie! Komunikacja między Wenchow a Szanghajem była przerwana. Okręty europejskie nie przyjeżdżały. Toteż ks. Serzysko musiał poczekać na chwilę odpowiednią. Pobyt swój w pierwszym porcie chińskim wykorzystał na naukę początków chińskiego. Wyniki były dobre, kiedy wprawił Chińczyków w zdumienie znajomością hieroglifów chińskich.

Pod koniec maja zawitał do Wenchow. Radość oczekiwania i fakt spotkania towarzyszyły mu na każdym kroku. Każdy cieszył się widokiem gościa z Polski. Każdy pragnął posłuchać wieści o ukochanej Ojczyźnie i podnieść swego ducha obrazem pięknej, zjednoczonej i mocarnej Polski. Z Junkódzie i Funplin przybyli na powitanie. Ks. Grabka, proboszcz Funplin, wybrał się powitać gościa w imieniu swych pomocników. Z powodu pracy i okoliczności trudno było razem jechać. Dlatego pod koniec czerwca wybrałem się do Wenchow. Pragnąłem osobiście zobaczyć i pogratulować Łaski przyjazdu do Chin i szczęścia w podróży młodemu misjonarzowi. Niestety, już go w Wenchow nie było. Ks. Superior widząc tak ochotne i zapałne serce apostołskie, wysłał go wraz z ks. Paciorkiem do Wenchi na nową parafię. Tam pod wytrawnym kierunkiem ks. Paciorka i nauczycieli chińskich zgłębiać będzie tajemnice języka chińskiego. Życzmy mu wszyscy "Szczęść Boże" w tej pracy.

Prędkim wyjazdem sprawił mi niespodziankę. Dlatego i ja pragnąłem sprawić mu niespodziankę i zjawić się w jego parafii. Poprosiłem ks. Superiora Kurtykę o pozwolenie i miałem już wybierać się drugiego dnia do Wenchi. Tymczasem była trzecia niespodzianka.



Rano przeraźliwy głos syreny zwiastował nalot samolotów. Japończycy na skrzydłach lecą do naszego miasta. Straszna chwila oczekiwania. Nasza rezydencja napełnia się uciekinierami. Każdy z bojaźnią oczekuje nalotu. Niektórzy chowają się pod ławki. Widać silne podenerwowanie. Cisza, nikt nic nie mówi. Za chwilę może setki rodzin straci dach nad głową! Może setki ludzi znajdzie grobi! Może tysiące ocz wylewać będzie strumienie łez! Nic nie wiadomo! O, naprawdę straszna chwila wojny! Ogólny nastrój udziela się i mnie. Lęk i bojaźń przed czymś strasznym a nieznanym ogarnia duszę! Zobaczą Wreszcie na własne oczy bombardownie miasta! Nie byłem nigdy świadkiem niszczyielskiej pracy japońskich ptaków żelaznych. Przypadkowo przebywałem zawsze w parafii Funclin, gdy w mieście życie mieszkańców ulatywało pod gradem kul i bomb. Obawy i przypuszczenia okazały się niesłuszne. Samolot japoński dwie godziny prawie krążył nad portem i rzeką, jakby czegoś szukał. "Podarunków" tym razem nie było żadnych. Na okręt angielski rzucił jedynie zawiadomienie, gdzie radzi czym prędzej się wynieść. "Po trzech dniach nie bierzemy odpowiedzialności za ewentualne szkody", zapowiedzieli Japończycy. Droga radiową zapytano Poselstwo co czynić? Za radą swych władz okręt angielski opuścił port Wenchow następnego dnia. Tymczasem wiadomość o przybyciu Japończyków "po trzech dniach" zelektryzowała umysły ogółu. Mieszczanie zaczęli uciekać. Pakowano, wywozono, na wsie, w góry, poza miasto, byle mienie i życie uratować. Miasto opustoszało, jakby je zaraza i kłód nawiedziły. Cóż było robić w takiej okoliczności? Ks. Superior radzi uciekać. "Gdyby Japończycy zajęli miasto, droga do Funclin byłaby zamknięta." Racja zupełna. Na bok odłożyć musiałem wizytę i chęć powitania nowego misjonarza. Spakowałem czym prędzej manatki, pożegnałem ks. Superiора i konfratrów, wynajęłem kłód i uciekłem.

W porcie masa narodu ucieka. Krzyk, nawoływania, rozpychania. Łódkarze zarabiają doskonale. Z powodu takich okoliczności podnoszą ceny wysoko. Zwyczajnie za wynajęcie kłódki płacikiem dwa dol. meks. Dziś chciał 7. Mój służący i rodzina chrześcijańska ubili na 5. Wsiadamy wieczorem. Do rana mamy czelme na przypływ wody po drugiej stronie rzeki. Deszcz lał bezustannie. Komary ciężki nie-miłosiernie. Ledwie oko znużyłem, a tu już ostry ból ukąszenia natrętnego komara buził mnie ze snu. I tak co chwilę, aż do rana. Na łódce oprócz mojego służącego, cała rodzina. Ciąśno, że ani swobodnie nie było się gdzie położyć. Nadto ta ciężka atmosfera! Dobrze, że choć od czasu do czasu wietrzyk zawiął, inaczej maski gazowe byłyby niezbędne.

Nasz Łódkarz miał nas dowieść na południe do Sodył. Jest to wędcej niż połowa drogi z Wenchow do Funclin. Z So-dył miałem iść pieszo ponad 20 km. Tymczasem wskutek stałego deszczu rzeki wezbrały i utworzyła się powódź. Silne wiry i wysokie fale utrudniały drogę pod prąd. Jedliśmy żółwym krokiem. Totóż: nie dziwiłem się, że wiosłarz nie dotrzymał słowa. Była już 10 g. rano, gdy ten ani połowy drogi do So-dył nie ujechał. Wreszcie przybił do pewnej przystani i orzekł, że nie da się wiosłować. "Prąd rzeki za silny porwya kłód w tył." - Jak długo tu będziemy stać? - Do wieczora.

...nie zostać będzie cały dzień w takiej norze. Ilt godzin trzeba  
iść do najbliższej kaplicy? - pytam służącego. - Jakie dwie godzi-  
ny. Zatem tam raczej poczekamy na Łódź. Wieczorem Łódkarz miał do-  
bić do Je-o, zawołać nas i jechać dalej.

Wyszliśmy. Deszcz lał jak z cebra. Silny wiatr zaciął z ukosa.  
Po chwili cała sufanna ociekała z wody. Otulałem się parasolem,  
jak mogłem. Ale i ten wkrótce przemokł i strumienie wody spuszczał  
z góry. Tak całe ubranie dozna przemokło. Drogi były zalane. Ma-  
szarowaliśmy przez cały czas w wodzie. Miejscami woda dosięgała ko-  
lan. Przemoczony do nitki, szedłem w wodzie, nie oglądając się na  
niczyją pomoc. Była to tura istsie żołnierska. Trwała nie dwie go-  
dziny, ale ponad trzy. Doszliśmy wreszcie na miejsce. Nie miałem  
nie na zmianę. Więc co przemokło, wysuszyło się na mnie. Buciki  
jedynie dałem do osuszenia przy ogniu. Na ten czas pożyczylem od  
katechisty. Miał bardzo pasowały. Z trudem naciągnąłem na pół stopy.  
Katechista zapewniał mnie, że są to największe buciki w całej  
wiosce. Za chwilę podano obiad. Było to równocześnie śniadanie.  
Na ten posiłek składała się miseczka makaronu chińskiego i kilka fi-  
liżanek gorącej wody. I za to dzięki serdeczne Bogu, że pamięta o  
zaspacowaniu potrzeb naszych z troskliwością najlepszego Ojca!

Z powodu stałego deszczu, Łódkarz nie przybył na wieczór. Dopie-  
ro następnego dnia zjawił się po południu. Rzeczy zabrał służący i  
na drążku bambusowym poniósł do Funclin. Mieliliśmy przed sobą drogę  
przez 20 km. Z nami wędrowało moc narodu. Wszystkie uciakiernierzy  
z miasta. Szeregi całe sunęły po ścieżkach polnych. Wyglądało to  
tak, jak w Polsce piągrzynka do miejsca cudownego. Na rzece widzie-  
liśmy kilkanaście łódek pełnych żołnierzy. Szybkością bystrego pra-  
du wody płynęli do miasta wzmacnić pozycje przeciw japońskie. W po-  
zowie drogi wypościliśmy. Dałem służącemu 10 groszy meks., by sobie  
kupił coś na podwieczorek. Była za to miseczka makaronu z ryżu.  
"Ależ to nic dobre", mówi mi. Gorzkie, stęchłe, brudne... wyliza  
zalety kuchni chińskiej. Żał mi go było, bo zmęczył się bardzo, a  
do domu jeszcze daleko. Wyciągnąłem chleb, wzięliśmy wody i urzą-  
dziliśmy sobie na sposób europejski podwieczorek. "A to, mówi, to  
doskonale." Zjadał chleb z takim apetytem, jak przed chwilą z od-  
razą zjadał miseczkę stęchłego makaronu. Jakiś Chińczyk, który jak  
żyje nie widział chleba, zawołał: kot / o rety /, co wy takiego za-  
jadacie? To chleb, mówi służący. - Chleb? - A to też z ryżu wypie-  
kają?

Na miejsce przyszliśmy wieczorem. Było już ciemno. Zebrani  
chrześcijanie na modlitwy wieczorne jeden przez drugiego pytają o  
nowiny z miasta. Najwięcej uderzyła ich wiadomość, że nasi polscy  
misjonarze w obliczu nadejścia Japończyków, zachowują postawę spo-  
kojną i pełną ufności w Opatroność Bożą. - To oni nie myślą uciekać?  
A Siostry Miłosierdzia? - Również zostają na swych posterunkach!  
Odwaga, poświęcenie, ofiara, ... mówią między sobą.

-----  
Popierać Misje t. z. szerzyć cywilizację i pokój na świecie.

-----  
Z a a b o n u j " Misjonarza w Wenchow! "  
Przemoczona dosolna. Dobrodziejom Misji wyżyjemy darmo.

na górnym, lewym brzegu rzeki Aiko, w odległości 40 km. od Wenchow rozłożyła się wioska Wenchu. Niczem nie różni się od tytu, tylu innych rozsiąanych po całym dystrykcie. A jednak droga sercu misjonarzy. Posiada ona dom i kaplicę zbudowaną za polskie ofiary. Tutaj bliżej zetknąłem się z nowym, odrębnym światem.

Nieznając języka zdać się musiałem na relacje innych, a sam ograniczyć swe spostrzeżenia do wrażeń czysto wzrokowych: zdobywając z trudem zasób różnorodnych, a na początku często jednakowo zdać się brzmących słów, chwycić sens mowy. Jednego razu po zbyt upalnym dniu, wieczór zapowiadał się cudny. Ochłodziło się, na niebo wypłynął księżyc, oświetlając całą okolicę. Korzystając z tak pięknej chwili, udałem się z ks. Paciorkiem nad rzekę, by choć trochę odechnąć. Nie dochodząc do brzegu spotkałem chłopca, który rano był świadkiem jak uczyłem się słów chińskich. Myślałem, że już dosyć umiem więc chciałem wdać się w rozmowę. Niestety, dopiero ks. Paciorek ratował milczącego zang-wu /księdza/. Widząc iż jeden z Europejczyków tak dobrze mówi, wmieszali się do rozmowy inni. Zaczęli go pytać o różne rzeczy, w końcu jednak rozmowa zeszała na kwestie religijne. Niektórzy słuchali bardzo uważnie, rzucając od czasu do czasu zapytania. Na obliczach innych malowało się zdziwienie, coś podobnego skłyszeli po raz pierwszy. Jeszcze inni odchodzili "bo twarda była ta mowa." Ziarno jednak było rzucone.

Doniesiono naszemu katechiście, iż żona jednego z katechumenów zachorowała. Jest tu piękny zwyczaj, iż woła się go, by pomodlił się o zdrowie. Chora życzyła sobie jednak, by każdy ją odwiedził. Poszliśmy. W domu było kilku znajomych, i dużo ciekawych pogan. Katechista korzystając z okazji, powiedział im słów kilka o prawdziwym Bogu. Towarzysz mój zachęcił chorą do poddania się i cierpliwego znoszenia choroby. Nie z lekkim sercem wracaliśmy do rezydencji. Człowiek jest w rękę Boga, może w każdej chwili przenieść się do wieczności. Stan chorej był bardzo poważny. Gdyby katechumenka zmarła, poganie by mówili: o, było dwóch europejskich księży i nic nie pomogli, widzicie trzeba było udać się do naszych bogów. Lecz Pan Bóg sprawił, iż wrócił do zdrowia.

Oprócz kaplic rozrzuconych po przedmieściach Wenchow, znajdują się jeszcze w samym mieście domy modlitw, gdzie chrześcijanie schodzą się na wspólne pacierze. Dwa razy na tydzień katechista głosi im naukę. Z okazji większych uroczystości z-praszają księdza, by im słów kilka ku zbudowaniu powiedział. W uroczystość Przemienienia Pańskiego bawiłem w Wenchow. Ks. Superior miał właśnie wygłosić naukę w jednym z takich domów. Skorzystałem z okazji. Już przed oznaczonym czasem poczuli schodzić się chrześcijanie różnego wieku i stanu. Nie udawali się na modlitwę, tylko w pierwszym pokoju gwarzyli to o tym to o owym. Gdy naznaczona godzina wybiła w skupieniu zajęli miejsca w drugą pokój mającym wygląd kaplicy: mężczyźni po stronie lewej, niewiasty po stronie ewangelii. Rozpoczęli na

...wielu odmawiać modlitwy. Znać było, iż wiele osób mówiło je z  
...jęciem i budującą pobożnością. Po skończeniu przemówił z ser-  
... ks. Superior. Wskazał im, iż P. Jezus na to się przemienił, aby  
... będzie cierpiał, Apostołowie Go się nie zaparli i na tym tle  
... Superior rozwinął naukę, iż tu na ziemi nie zawsze chrześcija-  
... dobrze się powodzi, mają dużo cierpień, ale za to czeka ich  
... niebo, gdy przeciwie poganom idzie wszystko jak z płatka, ale co  
... potem. Jeśli gdzie to tu trzeba często o tym mówić. Chińczyk jest  
... zbyt materialistyczny, zbyt szuka korzyści doczesnych. Prawda,  
... przemieniają. Choć i tu zdarzają się wyjątki.

Często widuję 12-letniego chłopca, zna katechizm bardzo dobrze,  
Matka zagorzała poganą. Pragnął i ją nawrócić, ale ta ani słyszeć  
nie chciała. Gdy brat młodszy podrósł, młody apostoł chciał, aby  
on uczył się katechizmu. Matka zaprotestowała. Wynógł na ojcu,  
jako głowie rodziny, iż chłopca oddano do katolickiej szkoły.

Z ramienia Misji Wenchow, bawi obecnie  
jeszcze w Polsce ks. Łukasz Sitko. Naj-  
prawdopodobniej wybiera on się kiedyś  
w grudniu do Ameryki. Gdybyś chciał więc  
przyjacielu skorzystał jeszcze z okazji i  
dać coś na misję, to udaj się do niego.  
Adres jego w Polsce: Ks. Łukasz Sitko,  
Kraków, Stradom 4.

Siące za wiarę.

Ks. J. Paciorek.

Estem na misjach w "Lo-dzing", miejsce-  
wości należącej do parafii Julian. Kaplica  
stała, ale prawdziwe cacko. Pieniądze na jej budowę dała  
s. M. Siostra Maria, Angielka, która dwa lata temu spoczęła na  
"Górze świętej" - cmentarzu. Dużo kaplic w dystrykcie Wenchow wy-  
stawiono za jej pieniądze, albo też pieniądze, jakie otrzymywała  
od przyjaciół z Ameryki, czy też Anglii. Do innych kaplic kupiła  
ołtarz, dzwon, ławki, obraz albo balaski. "Na tę kaplicę właśnie  
ona dała pieniądze", informuje mnie katechista.

- A dużo tu chrześcijan?

- Ochrzczonych jest blisko sto, ale takich, którzy zachowują przy-  
kazanie kościelne spowiedzi i Komunii św. dorocznej będzie około  
50 tylko.

- A katechumeni są?

- Może ze 20. Ksiądz tu tylko dwa razy do roku przychodzi. Zesz-  
łego roku ani razu nie był z powodu bandytów. Gdyby ksiądz czę-  
ściej przychodził, toby napewno lepiej było.

- Wieczorem będzie kto do spowiedzi?

- A będzie kilka babek. Inni wczas rano przyjdą.

Na drugi dzień rano miałem 40 spowiedzi. Powiedziałem wiernym  
kazanie o przyrzeczeniach danych przy chrzcie, że się wtenczas wy-  
szekli szatana, diabełków, komedii na jego cześć itd.



Po mszy św. wychodzę do chrześcijan porozmawiać sobie.  
"Księżel! obrazek. Księżel! medalik. Przychodzi jedna kobieta z podobnym okiem i też prosi o medalik dla syna.

- A co to? oko cię boli?, pytam.

- Tak! pobiłam się dziś rano z mężem.

- A to dlaczego?

- Bo mi nie chciało pozwolić iść do kościoła.

- Jak to było? opowiedz no.

- Ano, wstałam rano i ubieram się lepiej aniżeli zwykle. Syna też zbudziłam i kazałam mu przywdziać lepsze ubranie. Mąż zauważył i pyta się:

- Gdzieś się to wybieracie?

- Do kościoła. Ksiądz przyszedł. Trzeba iść wypowiadać się i przyjąć Komunię św.

- Ja ci dam do kościoła! Do lasu zbierać chrust na opał.

- Do lasu pójdę, jak wrócę z kościoła. Ojciec duchowny tylko dwa razy na rok przychodzi, więc trzeba skorzystać i przystąpić do spowiedzi i Komunii św.

- Nie pójdiesz! rozumiesz?

- Chyba, że mnie zabijesz, to nie pójdę. - No, i tak doszło do bójki, proszę księdza. Na rękach też mam sińce, o! I na plecach też. Ale uciekłam razem ze synem.

- A to twój mąż nie czci "Pana Nieba?"

- Czci, ale to tak, ni w trzy ni w cztery. Już dawno nie był u spowiedzi.

- Co ty wobec tego myślisz robić? nie boisz się?

- Nie, nie boję się. Wrócę do domu.

- Mąż cię znowu nabije.

- Ja się mu tam nie bardzo dam, proszę ojca duchownego. On też ma kilka sińców. Zresztą mogą uciec z domu, a do tego on by napewno nie chciał doprowadzić.

- Masz medalik! Muszę ci dać lepszy, że tak gorliwie czcisz Pana Nieba.

-----  
Wieści z Yungkiachang.

Ks. F. Stefanowicz.



Nadzedł koniec czerwca a z nim zakończenie szkoły. Mimo samolotów i bomb w naszej "wsi spokojnej" - szkoła nie nie ucierpiała. Dociągnęliśmy wszystko w spokoju do ostatniego dnia. Nastąpiły formalne egzamina przez cały tydzień. By nie przemęczać młodzieży, rozłożono materiał szkolny po jednym przedmiocie na dzień. Egzamin trwał zwykle parę godzin. Punktem kulminacyjnym było rozdanie nagród - zakończenie. Nie obeszło się bez programu. Było przemówienie jedno i drugie, i śpiewali i czekali rychło już się skończy to wszystko.... Pracowitszym, zdolnym dostało się po kawałku mydła, a nawet pieniądze we formie "czeku", że na przyszły rok dostanie książki, czy też już mniej zapłaci za jedzenie ryżu... To ostatnio chyba cieszyło rodziców, ale dzieci?... Za umiejętność

katechizmu dostali piękne duże, małe obrazy, koronki... a reszta sła-  
bi w nauce, leniuchy dostali kartki papieru z wypidanymi stopniami.  
Zawsze nie szli do domu z próżnymi rękoma.

Poczta w tym czasie dochodzi do nas, jak manna... Zadawaliśmy się  
i tym, bo nieoficjalnie zablokowali nas Japończycy. Myślą - /robią  
to od dawna/ wkroczyć do Wenchow. Okrętom zaś europejskim głoszą to  
samo i że strefa niebezpieczna. Lepiej nie przyjeżdżać, bo za bez-  
pieczeństwo ich nie odpowiadają. Miasto wyludnione - i tak z dnia na  
dzień od dwóch tygodni oczekują. Jednego wieczora do późna w noc o-  
świetlali z okrętów wojennych całą naszą okolicę. Coś wspaniałego!  
Powtórzyli parę razy, ale już z mniejszym efektem. Widocznie pilnu-  
ją, by biedni rybacy nie mogli zarobić na miszkę ryżu w gębi od brze-  
gu - a więc blokada.

Zapowiadane wkroczenie Japończyków na 15 lipca popsok coś w ro-  
dzaju - tajfun. Od trzech dni lało przy silnej burzy. Wszystko co  
słabej konstrukcji ustąpiło sile żywiołu. Do naszych uszu co wieczór  
dochodzi szum, huk morza. Woda z kanałów wystąpiła i zalała brzegi.  
Do sklepów na naszej Zy-ika trudno się dostać w obuwiu. Najlepiej  
na bosaka. W domu ciemno choć to w dzień. Trzeba było pozamykać  
zalużkę, bo inaczej mimo okien kitowanych na korytarzu była woda do-  
stająca się przez wszelkie najmniejsze szczeliny. Pola ryżowe tak  
nawodnione, że tylko kłosa sterczą. Gdzie od dawna nie mieli na sto-  
le ryżu, już zaczęli żać zielonkawy w braku cierpliwości, a szcze-  
gólnie ci, którym głód dokuczał. Oczywiście wskutek takiego deszczu  
zeszłoroczny ryż podrozał.

Ofiarą tajfunu, którego mieliśmy tylko ogon, jak powiadają, by-  
ły trzy osoby. Po zakupieniu w Wenchow wszelkich "wiktuałów", pa-  
pierosów, nawet znaczków pocztowych i stemplowych ruszyli do Junko-  
dzie w nocy w liczbie 4 i dwóch wioślarzy / ojciec z synem/. Wczes-  
nym rankiem byli u celu drogi. U przystani parę godzin temu podnie-  
siono tamę przy moście z obawy, by żywioł wodny nie zerwał mostu, a  
także, by w kanale przy wielkim spadzie nie było za dużo wody. Otwor-  
zono jej drogę do rzeki. Wskutek silnego wiatru z deszczem i spad-  
ku wody, prąd przed mostem był wielki, więc gdy się dostała łódka  
niespodzianie w jego środek w pobliżu mostu nawet nie zdążyli się  
rozejrzeć, jak przód łodzi zanurzył się przy spływie wody i momen-  
talnie cała łódka znalazła się pod wodą. Trzech się wyratowało u-  
miejąc pływać, a ów kupiec z dwoma wioślarzami /ojciec i syn/ zna-  
leźli śmierć we wzburzonej wodzie. Po paru dniach znaleźli ofiary  
żywiołu, ale cała zawartość łodzi wynosząca około 500 dol. meks.  
poszła z prądem rzeki do morza. A z tego, co tamą zatrzymała, też  
nie będzie pożytku.

Zak ocenili tym byliśmy zaniepokojeni, że może i poczta była  
do nas wyjątkowo obfita i jak na nieszczęście mogła pójść morzem  
z powrotem... Byłam w tej sprawie na tutejszej poczcie. Przy wy-  
wiadzie dokładnym, według ich zapewnień nie było żadnej poczty na  
tej łódce nieszczęśliwej. Od tego jest specjalna łódka "pocztowa."  
Spadł kamień z serca, choć pozostały wątpliwości, że może grzeszność  
nie pozwoliła powiedzieć prawdy. Napewno z czasem sprawa się wyja-  
śni. Podobno były też na tej łódce i znaczki pocztowe za dużą sumę.

Wskutek tego, potem przez tydzień nie można było na tutejszej polce dostać znaczków na listy.

Mimo zalania wodą pól ryżowych, rolnicy nie tracą nadziei. Brodzą po kolana we wodzie i tak ścinają pierwszy ryż - odsłaniając drugi, późniejszy - zieleniejący się. Następnie wynoszą powiązane snopki ociekające wodą i na jakimś suchym placu obijają cenny pokarm - życia i śmierci. Przy dobroczyнным słońcu suszą ziarno wymłócone, a potem dalej przechodzi ono swoje koleje, aż się znajdzie na stole w miseczce... Tradycja ma swoje prawa. W Polsce dóżynki hucznie się obchodzi, a tu odwrotnie. Każda zamożniejsza rodzina sprasza przed żniwami krewnych i robotników, którzy będą brali udział w żniwach i urządzają ucztę. Tak się układają, by mogli ucztować jedni u drugich. Oczywiście wszyscy krewni nie mający dużo swego żniwa napewno pomogą po takiej uczcie.

O przyrządek nie trudno. Wracając ze sklepu przewrócił się starsuszek na ulicy i zabił się. W tym momencie przechodził obok nasz kucharz. Mimo zbiegowiska pogan i policji, bez wielkiego zastanawiania się nabrał w pobliżu wody i ochrzcił dającego jeszcze znaki życia starszuka. Ciekawym tłumaczył, że próbuje w ten sposób czy jeszcze żyje, a może tak przywoła go do przytomności. Sam się cieszył, że będzie miał jednego więcej orędownika w niebie. Trochę biedował, że wcześniej nie dało mu się zjawić przy wypadku....

Ponownie przepraszamy Szanownych Czytelników i Przyjaciół naszej Polskiej Misji za nieregularne przesyłanie "Misjonarza w Wenchow." Blokada portu trwa nadal. Ciągnie się to już drugi miesiąc. Brak komunikacji ze Szanghajem, wskutek czego ceny towarów poszły szalenie w górę. Gorsze to, że niektórych zaczyna już w ogóle brakować. Trudno znaleźć atramentu na wybitcie "Misjonarza." Może będziemy zmuszeni nie wydawać go przez jakiś czas - . To się dopiero okaże.

Jeszcze raz przepraszamy za spóźnioną przesyłkę "Misjonarza" i polecamy modlitwom drożich nam Przyjaciół naszą placówkę na Dalekim Wschodzie.

Nasz sekretariat na Polskę prowadzi: ↓ Wszelkie ofiary dla nas prosimy posyłać pod adresem:  
Wielebna Siostra Katarzyna Wójcik  
Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia  
Kraków, ul. Warszawska 8.

Prosimy o podanie nam osób, które interesują się misjami i byłyby gotowe z nami współ pracować.

Czy chcesz być Aniołem Stróżem misjonarza? Wspieraj go modlitwą i ofiarą.

Prosimy bardzo o intencje mszalne. Odprawimy je natychmiast.